



ILUSTROWANY



PRZEGLĄD TYGODNIOWY



Wychodzi w każdą niedzielę
w
Krakowie • Wiedniu • Mor. Ostrawie



Rocznik I.

29. sierpnia 1915

Nr. 38.

Redakcja, administracja i ekspedycja
Morawska Ostrawa, ul. Johannyego 5.
Tel. Nr. 163.
Rękopisów się nie zwraca.

Cena numeru 20 halerzy

Prenumerata kwartalna . . K 2'50

Prenumerata półroczna . . K 5—

Ceny ogłoszeń: Cała strona 100 kor.,
 $\frac{1}{2}$ strony — 50 kor., $\frac{1}{4}$ strony — 25 kor.,
 $\frac{1}{8}$ strony — 12'50 h. i t. d. Przy kilkakrotnem zamieszczeniu wysokie rabaty.



Warszawa. — Ulica Marszałkowska.

HENRYK ZBIERZCHOWSKI

WARSZAWA.

Warszawo! Słyszysz, Warszawo?!
W gruzy legł stary świat.
Potrzęsnał kłós chustą krwawą
U twych więziennych krat.

W Starego Miasta zaułki
Wdarł się armatni huk,
Płyną i płyną skądś pułki,
Drżą okna i tętni bruk.

Na Zanku już carskich straży
Zmilkł nienawistny krok.
Coś się wielkiego marzy,
Trzydziesty pierwszy rok...

Coś się wielkiego roi.
Wyteżaj wzrok i słuch!
Czy w srebrnej zjawia się zbroi
Odwieczny mściciel Król-Duch?

Warszawo! Królów stolico!
Przetrwiałaś wieku ból.
Zjawiasz się znów błyskawicą
W łanach płonących pól.

Po długich męczeństwa latach
U mroku więziennych ścian
Niechaj ukryje się w kwiatkach
Krew ściekla z serdecznych ran.

I niech na twem czole błędem
Znów w blasku dawnych farb
Zapłonie z brylantów dyadem,
Królewskich przodków skarb.

I niechaj w farnym kościele
Wielki uderzy dzwon.
Idą Legiony — mściciele,
Idą z ojczystych stron.

Ruszyli dla świętej sprawy,
Gdy wodza rozkaz padł,
Z Krakowa do Warszawy
Krwiać znacząc każdy ślad.

Śmierć niosąc knutom i pałkom,
Szli kruszyć carską moc.
Śniłaś się tym zuchwałkom
W marszach przez dzień i noc.

I serca każdego calem
Czuli cię, matko, w łzach.
Jak nowa Jeruzalem,
Zjawiałaś im się w snach.

Gdy pierzchła noc bez końca,
Zrywali się z swych leż.
Pod blask się patrząc słońca,
Szukali twoich wież.

I oto żar nagrodzony
I nie daremny trud:
Stoją już polskie Legiony
U twoich świętych wrót.

Nowa, słoneczna era,
Dość już żalobnych chust.
Serce w piersiach zamiera,
Miłość nie schodzi z ust.

Stajem się lepsi i szczerzi,
Stońce błysło wśród mgły.
Ach! upaść na czyjeś piersi,
Wyplakać wszystkie łzy!!

Rozstać się już z łańcuchem,
Żyć wśród rodzinnych gniazd,
Być wolnym, szczęśliwym duchem
Wśród wichrów, chmur i gwiazd!!

Z wojny.

Ostatni numer naszego pisma był już pod prasą, kiedy nadeszła wiadomość o zajęciu przez armię niemiecką Kowna — w parę dni później dowiedzieliśmy się o zdobyciu Modlina, do czego przyczyniły się austriacko-węgierskie działa obłężnicze. Kończymy zaś dzisiejszą notatkę wojenną ostatnio nadeszłą wiadomością o zdobyciu twierdzy Ossowiec. Bliższych szczegółów co do Ossowca nie mamy jeszcze, natomiast co do Kowna wiemy, że Moskale zdołali uciec, wobec czego liczba jeńców minimalna. Pozostawili natomiast 400 dział i inny materiał wojenny. W Modlinie zaś jeszcze obfitsza zdobycz, gdyż 700 dział i nieprzeliczona jeszcze dotąd wielka ilość materiału wojennego. Liczba jeńców pojmanych w Modlinie wynosi aż 85.000 ludzi.

Tak wielka liczba jeńców i poważna strata w działach — bo łącznie w dwóch twierdzach 1.100 sztuk — nie tak łatwo dadzą się wyrównać. Jeżeli do liczby jeńców doliczymy jeszcze zabitych i rannych, to w przybliżeniu możemy ocenić straty rosyjskie na około 150.000 ludzi, czyli kilka korpusów. Mimo nawet zdwojonej pracy w kierunku zaopatrzenia armii w działa i amunicję, trudno będzie Rosyanom wyrównać braki. Nie będzie na to czasu.

Obecnie sprzymierzeni stoją pod Brześciem Litewskim, jeżeli zaś i ta twierdza padnie i armia rosyjska będzie rozbita, to będzie już katastrofą, która zadecyduje o losach wojny. Brześć Litewski jest ze wszystkich stron otoczony, a mają Rosyanie wolną drogę tylko od strony bagien rokitniańskich, które mogą stać się ich grobem.

Coraz częściej można również czytać w prasie neutralnej o zagrożeniu Petersburga, z czem zdają się liczyć i sami Rosyanie, wobec tego kto wie, czy koniec wojny nie jest bliższy, niż nam się zdaje.

Rozkaz dzienny Piłsudzkiego

W rocznicę wejścia do Królestwa Strzelców drogi nasz wódz, twórca owego wiekopomnego faktu, temi słowy przemówił do swych żołnierzy:

Żołnierze!

Rok temu z garścią małą ludzi źle wyposażonych rozpoczęłam wojnę.

Cały świat wtedy stanął do boju. Nie chciałem pozwolić, by w czasie, gdy na żywym ciele naszej Ojczyzny miano wyrąbywać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przytem brakowało. Nie chciałem dopuścić, by na szalach losów, ważących się nad naszymi głowami, na szalach, na które miecze rzucono, zabrakło szabli polskiej!

Że szabla nasza była małą, że nie była godną wielkiego 20-milionowego narodu, nie nasza w tem wina. Nie stał za nami naród, nie mający odwagi spojrzeć olbrzymim wypadkom w oczy i oczekujący w biernej „neutralności” dla siebie od kogoś „gwarancyi”.

bko spokojny, równy, stary żołnierz, przygotowany na długą i żmudną pracę, nie spalający się jak słoma w pierwszym drobnym ogniu.

Żołnierze i towarzysze broni! Rok ciężkiej pracy minął! Pracy tak ciężkiej, tylu obstawionej przeszkodami, że gdy się obejrzymy na nią, dziw bierze, że dawno już rodzime bory nie szmerzą po nas swej pieśni żałobnej, po nas, po polskich żołnierzach z wielkiej wojny 1914—1915 roku.

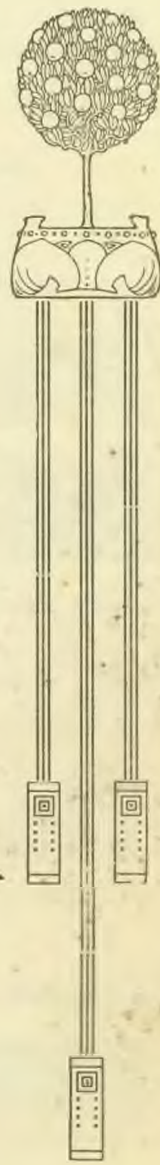
I teraz po roku wojny, jak w początku, jesteśmy tylko awangardą wojenną Polski, a także jej awan-



Warszawa. -- Uniwersytet.



Warszawa — Sąd okręgowy, dawniej pałac Paca.



Żołnierze! Posłżcie za moim rozkazem bez wahanja, bez chwili namysłu, czy los Wasz nie będzie podobnym do losu tylu poprzedzających nas pokoleń żołnierzy polskich. Posłżcie, by stanąć w obronie jeśli już nie szczęścia Ojczyzny, to przynajmniej Jej honoru.

Rok minął. Wyrobił się z nas ten typ żołnierza, jakiego nie znała dotąd Polska. Nie brawura, nie błyskotka żołnierska stanowi naszą najistotniejszą cechę, lecz ten przedziwny spokój i równowaga w pracy bez względu na przeciwności, jakie nas spotykają. Z młodego chłopaka w naszej atmosferze wyrabia się szy-

gardą moralną z umiejętnością zaryzykowania wszystkim, gdy ryzyko jest konieczne.

Żołnierze! dziś po roku wojny i pracy smutno mi, że powinszować Wam olbrzymich tryumfów nie mogę, lecz dumny jestem, że dzisiaj z większym spokojem, niż rok temu, mogę do Was, jak ongi zawołać:

„Chłopcy! Naprzód! Na śmierć czy na życie, na zwycięstwo czy na klęskę — idźcie czynem wojennym budzić Polskę do zmartwychpowstania!”

Ożarów, 5/VIII 1915.
Pod Lubartowem.

J. Piłsudski.

Słowa kanclerza Niemiec.

W dniu 19 b. m. w parlamencie niemieckim wygłosił kanclerz Bethmann Holweg wielką mowę polityczną, z której ustęp odnoszący się do Polski poniżej podajemy:

„Nasze i austriacko-węgierskie wojska dotarły do wschodnich granic Polski Kongresowej. Obu wojskom przypadło zadanie zarządzać krajem. Los geograficzny i polityczny zmusił od 100 lat Niemców i Polaków do walki z sobą. Wspomnienie o tych dawnych przeciwieństwach nie umniejsza czci dla namiętnej miłości ojczyzny i wytrwałości, z jaką naród polski swojej starej, wysokiej kultury i swej miłości wolności wobec Rosyi wśród ciężkich cierpień broni i wypróbował wskutek nieszczęść także i tej wojny.

Śliskich obietnic naszych nieprzyjacieli nie będę naśladował, ale mam nadzieję, że dzisiejsze obsadzenie granic polskich od wschodu tworzyć będzie początek rozwoju i usunie ze świata dawne przeciwieństwa pomiędzy Niemcami a Polakami, a wyzwolony z pod jarzma rosyjskiego kraj poprowadzi ku szczęśliwej przyszłości, w której będzie on mógł właściwości swego życia narodowego pielęgnować i rozwijać. Obsadzony przez nas kraj, przy możliwym współdziałaniu jego własnej ludności, będziemy sprawiedliwie administrować i starać się będziemy nieuniknione trudności, jakie przynosi z sobą wojna, wyrównać; starać się będziemy leczyć rany, jakie Rosya krajowi zadała.“ (Żywe okłaski).

Wobec końcowych słów mowy kanclerza w sprawie Polski wszelkie komentarze zbyteczne.



Łomża — Kościół parafialny.



Żydzi lubelscy przed swoimi sklepami, zrabowanymi przez Kozaków.



Z wojny z Francją: Francuzcy strzelcy bronią mostu w Wogezach.



Z wojny z Włochami: Młodociani rowerzyści włoscy w służbie wojennej.



Powracający z Trypolisu Włosi udają się na plac boju przeciw Austrii.



BOGDAN ZNICZ.

Polska wskrześnię!...

Polska wskrześnię słowem Bożem,
My Ją tylko dźwignąć zdolni,
Lecz Jej życia dać nie możemy,
Bo my ludzie dziś nie-wolni!

Choć istnienie nasze z ducha,
Choć nas zapał w lwy przemienia:
Nie rozerwiem dziś łańcucha
I nie damy jej zbawienia.

Ta dłoń ciężka, co nas zgniotta,
Jeszcze wciąż nad nami ciąży:
Chcemy ludzi — już ich zmiotła!
Chcemy broni — brak oręży!

Ach, i wciąż nad nami krąży
Ta złowroga myśl zwątpienia,
Że wciąż jeszcze gdzieś daleko
Dzień Ojczyzny Wyzwolenia!

Lecz nie! nie! bo On, Pan świata,
Co ma dziejów ster w Swej dłoni,
Co nas wydał w ręce kata,
Znow nas wyrwie i — bez broni!

Patrz! jak sęp się z sępem targa,
Jak wpcily w siebie szpony!
A skądś Orzeł wyzwolony
Wzbił się w górę — i on targa!

Czy już wzleci pod błękity
We wolności wpatrzon zorzę,
Czy znow spadnie w dół — zabity:
Jam nie prorok — Ty wiesz, Boże!

Lecz Ty nie daj tego, Panie,
By znow ledz miał zwyciężony!
Patrz na kraj ten spustoszony,
Okaz nad nim zmiłowanie!

Patrz na ofiar tych tysiące,
Patrz na oczy we łzach, Panie,
Usłysz prośby te gorące
I daj Polsce zmartwychwstanie!



Z Warszawy.

Kolej warszawsko-wiedeńską i kaliską objęła inżynierka niemiecka już dnia 5-go bm. i przystąpiła do robót około przywrócenia ruchu. Na kolei kaliskiej uszkodzenia mają być nieznaczne. Wykonanie robót około naprawy kolei warszawsko-wiedeńskiej obliczono na kilka dni.

Podług informacji warszawskiego »Przeglądu Wieczornego« Rosyanie wywieźli z warszawskiego zamku królewskiego całe urządzenie wewnętrzne w 90 wagonach do Moskwy. Uszkodzenia zamku wskutek bombardowania są nieznaczne.

»Dziennik Polski« ogłosił następującą odezwę:

»Stolicę Polski opuściły władze i wojska rosyjskie. Szlakami uchodzących wkroczyły wojska niemiecko-austriackie. Jakie będzie najbliższe jutro nasze, jakie nasze warunki bytowania — nie wiemy.

Wiemy tylko, jakie pragnienia i dążenia nurtują umęczoną duszę polską. Wspólne hasło łączy wszystkie serca. Ostateczne rozwiązanie sprawy polskiej jest jedno. Takie, które naszą rozdartą Ojczyznę połączy w całość niepodległą. Takie, które wolną Polskę oprze na mocnym i trwałym fundamencie własnego prawa państwowego.

Zmienne są wojny koleje. Ideal Polski jest niezmienny. Nie wolno nam hazardować go na rachubach przewidywań i przypuszczeń.

W trudnych chwilach, które przeżywamy, rozum polityczny nakazuje zachować równowagę, spokój i godność.

Dwudziestoparomilionowy naród, który wie, czego chce, a chce zgodnie, silnie i niewzruszenie, musi ziszczyć swe dążenia.

W artykule »Zakazana powściągliwość« pisze tenże »Dziennik Polski«:

Władze niemieckie, ujmując coraz dokładniej w swe ręce naczelną kierunek nad miastem, bardzo wyraźnie i stanowczo oświadczyły, iż nie pozwolą na żadne manifestacje polityczne, ani narodowe.

Takie oświadczenie położyło kres wszelkim oczekiwaniom, iż po zajęciu Warszawy przez armię dwuprzemierza nastąpią jakieś ważne wypadki polityczne. Nic podobnego!

Władze niemieckie nie traktują nas wprawdzie, jako swych wrogów, powiedziały nam to i dały dowód tego we wszystkich swych zarządzeniach, ale nie zdradzały także zamiaru zajmowania się naszym zbawieniem.

Jest to resztą zupełnie zrozumiałe i naturalne; z góry można się było tego spodziewać.

Niestety, trzeźwość nie należy do naszych cnót narodowych. To też nie brakło u nas ludzi, którzy oczekiwali, iż zajęcie Warszawy będzie miało dla nas duże natychmiastowe znaczenie polityczne.

Odezwa, ogłoszona pierwszego dnia, od razu powstrzymała przypuszczenia fantazyi i szeroki ogół zrozumiał, iż nie czas jest na żadne manifestacje narodowe. Są jednak umysły tak dalece podległe własnej wyobraźni, iż rzeczywistość niema na nie wpływu żadnego.

Rozległo się też parę głosów entuzjastycznych, głoszących o nadejściu ery wolności.

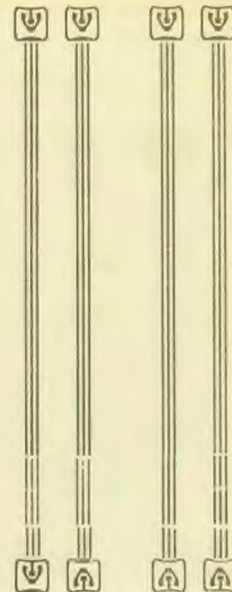
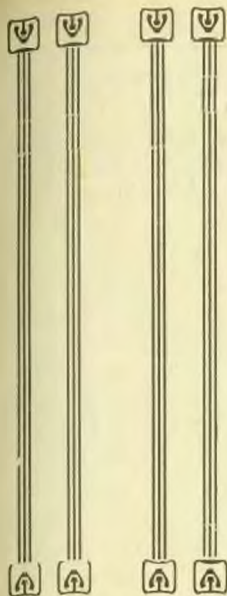
Skąd? Dla czego? — tego nie mówi ta poezja polityczna. Autorów jej zaślepiła nienawiść do Rosyi i z tego tylko punktu widzenia patrzą na rozgrywające się wypadki.

Nienawiść ta jest koniecznym uczuciem, ale sama jedna nie stworzy jeszcze patriotyzmu. Nienawiść do jarzma rosyjskiego znalazła dostateczne zadośćuczynienie, nie jest to jednak jeszcze wytarczające, aby śpiewać hymn wolności.

Nie ma żadnego powodu do urządzania święta patriotycznego.



O szpiegostwo podejrzani mieszkańcy przestuchiwani przez nasze wojska w więzieniu cywilnem w Pęblinie



Zbrojenia Ameryki. — Łodzie podwodne w porcie Nowego Jorku.

Nasza zaś godność narodowa powinna nam nakazać największą powściągliwość, nie kwapiąc się z przyjaźnią względem tych, którzy jej nie potrzebują, ani nie chcą.

Rezerwa jest dla nas wszystkich wskazana, społeczeństwo z pogardą powinno odwrócić się od tych, którzy tej rezerwy nie utrzymają».

»Nowa Gazeta«, organ żydów postępowych, wychodzi nadal. Dowiadujemy się o tem z »Deutsche Warschauer Zeitung«, która przytacza z niej ironiczny artykuł znanego literata, pisującego pod pseudonimem Leo Belmont (właściwe nazwisko: Leopold Blumenthal): »Warszawa żyje w męce niepewności — pisze p. Leo Belmont w »Nowej Gazecie« z dnia 10-go bm. — Już od kilku dni nie otrzymujemy komunikatów wojennych »naszego« głównodowodzącego. Ergo: nie wiemy nawet, czy Warszawa wzięta. Są wprawdzie inne komunikaty wojenne, lecz uczono nas nie wierzyć komunikatom obozu nieprzyjacielskiego. Plotka z nieczystego źródła, która niepotrzebny wszczynia niepokój. Widzimy wprawdzie na ulicach żołnierzy w nieznanym nam mundurach — ale to przecież nie mogą być Niemcy«.

W tym samym tonie sarkazmu jest napisany cały artykuł pana Leo Belmonta, który kończy się następująco:

»Uzbrojmy się tedy w cierpliwość i czekajmy na komunikat wojenny wodza zwierzchniego. Wtedy zaraz dowiemy się, czy Warszawa wzięta. Oczekujemy tego, gdyż on chwieści nam, czy Warszawa jest wolna«.

Powitanie ks. Leopolda Bawarskiego.

Ks. Lubomirski wygłosił po wjeździe do ks. Leopolda Bawarskiego następującą mowę:

»Po objęciu powierzonego mi urzędu, dążeniem mojem będzie utrzymanie należytego spokoju i porządku w tem mieście«.

Ksiązę odpowiedział:

»Ucieszyłem się na wiadomość, że mieszkańcy przyjaźnie spotykali oddziały wojska. Prowadzimy walkę z wrogią armią, a nie ze spokojnymi obywatelami. Przeciwnie, mieszkańcy, przez swe zachowanie się, mogą zdobyć potężną ochronę naszego oręcza«.

»Czuję się jednak pozatem w obowiązku wspomnieć, że w razie wrogiego postępowania ludności wobec naszych wojsk i niestosowania się do naszych rozporządzeń,

ku swemu ubolewaniu zmuszony będę postąpić z całą, nieubłaganą surowością naszych praw wojennych. W interesie przede stolicy Polski leży wszystko tak urządzić, żeby uniknąć nieporozumień«.

»Przy takim dobrem zachowaniu się gotów jestem chętnie pozwolić miastu na dobrodziejstwo samorządu, który otrzymany został w przepisach dla miast w Polsce rosyjskiej«.

Organizacja zarządu miasta.

Całkowita lista członków zarządu miasta po ostatecznym uformowaniu obejmuje nazwiska następujące:

Prezydent ks. Zdzisław Lubomirski, wiceprezydent inż. Piotr Drzewicki, z komitetu obywatelskiego: pp. S. Brun, J. Lewiński, dr. Męczkowski, J. Natanson, H. Konic i Zycki oraz rzeczoznawcy pp. Ciemniowski, Klossowski, Koralewski, Załuski i Zienkowski.

Uwolnienie politycznych przestępców.

Na jednym z posiedzeń Komitetu obywatelskiego zastanawiano się nad losem politycznych przestępców, umieszczonych w więzieniach warszawskich. Uchwalono uwolnić 40.

»Kuryer aWrszawski« donosi: Niemieckie władze wojskowe na propozycję Komitetu obywatelskiego ogłosiły amnestję wszystkich pozostawionych w Warszawie przez Rosyan przestępców politycznych, między nimi skazanego na długie ciężkie roboty przywódcę socjalistycznego Medena.

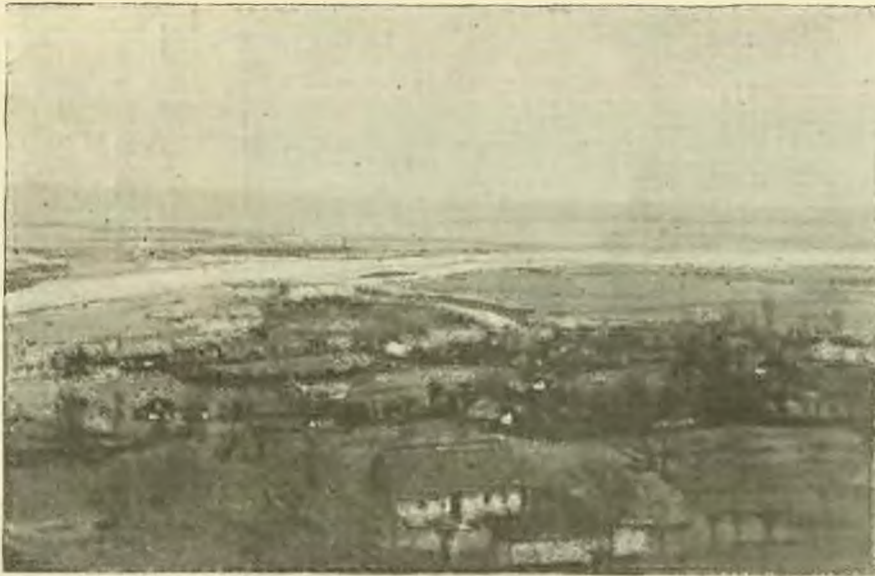
Wielu właścicieli sklepów warszawskich przystąpiło już do zamalowywania napisów rosyjskich na szyldach«.

Ks. arcybiskup Kakowski.

Z pism warszawskich dowiadujemy się, że ks. arcybiskup Kakowski pozostał w mieście i bynajmniej nie miał zamiaru wyjeżdżania do Petersburga, jak to głosiły zle poinformowane pisma niemieckie.

Do arcybiskupa zgłosił się na parę dni przed ostateczną ewakuacją Warszawy przedstawiciel władz rosyjskich, domagając się, aby odprawił nabożeństwo dziękczynne za przyzreczenie autonomii Królestwu. Ks. arcybiskup odpowiedział na to żądanie, iż odprawianie nabożeństw z powodu obietnic nie uważa za właściwe.

Na tem sprawa została zakończona.



Domu pomordowały na granicy niemieckiej.

szą polską dynastją królewską Piastów sięga wieku XIII-go, gdy Ludwik II, srogi mąż nieszczęśliwej Maryi z Brabantu, pojął jako drugą żonę Annę z Głogowa, z domu Piastów śląskich. Obaj pasierbi córki Piastów byli przodkami dzisiejszej dynastji Wittelsbachów. Są to książęta Ludwik Bawarski i Rudolf. — Jako następcy Rudolfa nie mają Wittelsbachowie polskiej krwi w żyłach, ale mają jako potomkowie Ludwika bawarskiego, którego ród po mieczu wygasł. Krew polska przeszła do niego drogą uboczną przez gałąź Ernestyńską domu Wettarów. Książę Leopold jest wnukiem królowej Teresy, księżniczki z domu Hildburghausen, która pochodzi od kurfirsta Ernesta, założyciela domu Ernestyńskiego. Żona Ernesta była córką Albrechta III Bawarskiego, potomka z linii prostej Ludwika Ba-



Zburzone przez Francuzów miasteczko Hattenville.



Schronienie żołnierzy rosyjskich.

Drobne wiadomości.

Książę Leopold bawarski potomek Piastów. „Frankfurter Ztg.” pisze: Dziwnem zrządzeniem losów nazwać można fakt, że bawarski książę Leopold, po 1 dowództwem którego Warszawa uwolnioną została z pod jarzma rosyjskiego, jest potomkiem z dynastji pierwszych królów polskich. — Córka króla polskiego, piękna Teresa Kunegunda Sobieska, zasiadła na tronie bawarskim jako druga żona Maksymiliana Emanuela, a syn jej, Albrecht, zasiadł na niemieckim tronie jako Karol VII. Z wnukiem Sobieskiej wygasła jednak ta linia bawarska. Związek krwi Wittelsbachów z pierw-

warskiego i jego żony, księżniczki Głogowskiej. Beatryx była wnuczką Konrada z Głogowa, którego pradziadkiem był Bolesław III, król Polski.

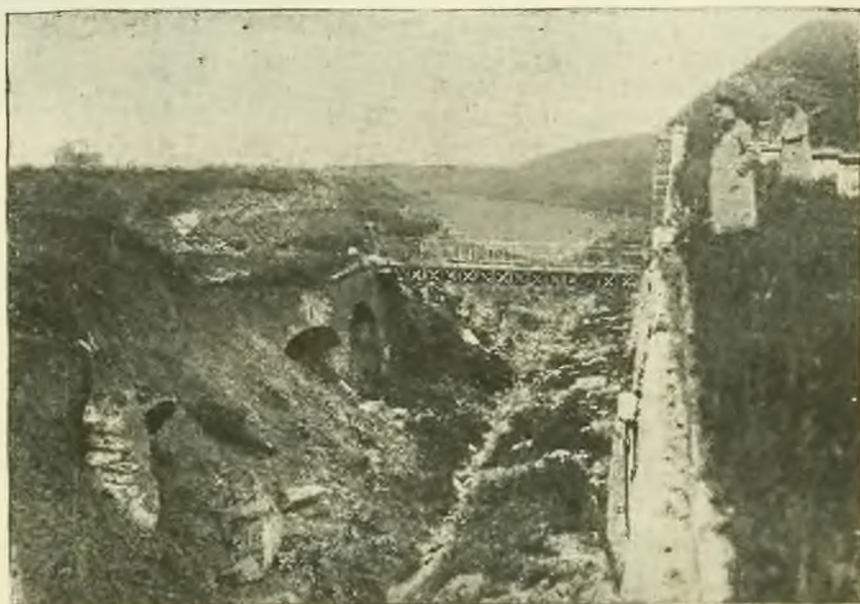
Sędziwy wiek. Z Norwegii, klasycznym kraju stuletnich, donoszą o żyjącym tam 119-letnim starcu, zapewne najstarszym człowieku w Norwegii. — Jest nim rybak Abel Eliassen, w miejscowości Buksnes. Urodził się w roku 1796; jako chłopiec służył El. jako pastuch u pewnego księdza i przyponi na sobie, że w owym czasie jednego roku jeszcze w dzień św. Jana śnieg leżał na łąkach. Wówczas panowała tam straszna drożyzna. Abel Eliassen miał trzy żony; z trzecią żoną (prawdopodobnie ostatnią) pobrał się w 96 roku życia. Zresztą jest zdrow i rzeźki i od kilku lat dopiero używa szkieł do czytania.



Zabawa żołnierzy niemieckich w Champagne we Francji



Zamek Bellevue we Francji koło Sedanu. Grzebanie poległych.



Zburzone kazamaty francuskie w Bussoi we Francji.

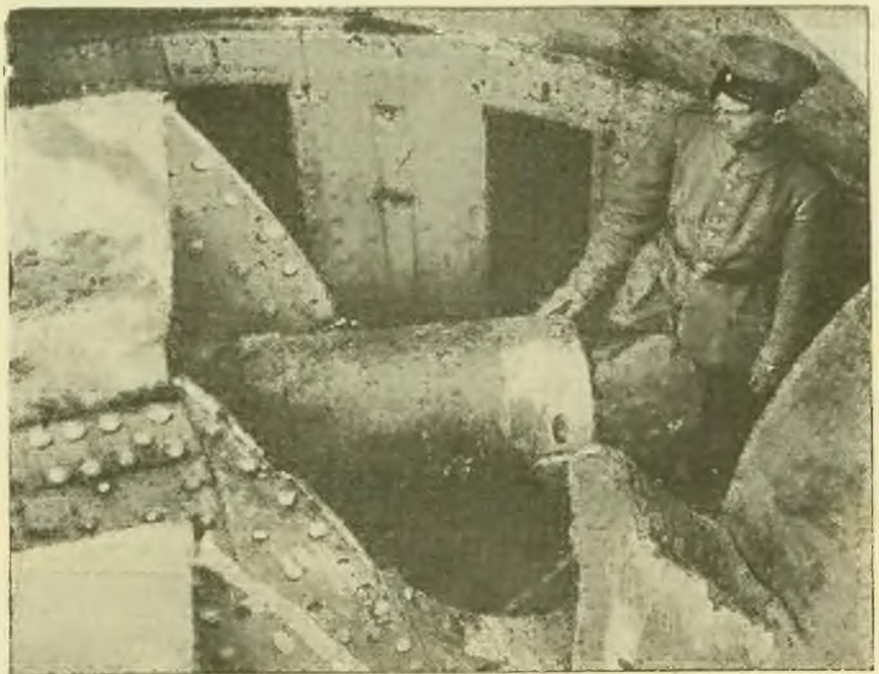
Potomek cesarzy bizantyńskich pod Konstantynopolem. Biulletin des Armées opowiada następującą romantyczną historię: W szeregach francuskich, które walczą obecnie na półwyspie Gallipoli o zdobycie Konstantynopola, znajduje się porucznik, który jest potomkiem cesarzy bizantyńskich w prostej linii cesarzy Komnenów. — Dynastia odegrała w wiekach



Wkroczenie wojsk austro-węgierskich do odzyskanego Przemyśla.

Wywóz drogocennych przedmiotów. „Vossische Ztg.” podaje doniesienie „Hamburger Fremdenblattu” z Kopenhagi, donoszące, że rząd rosyjski w tajnym okólniku wezwał gubernatorów, aby wszystkie drogocenne przedmioty z miejsc zagrożonych przewieziono nie do Petersburga, lecz do Moskwy.

Szopenowski nokturn jako środek leczniczy. „Corriere dell'a Sera” podaje następującą wiadomość: Plutonowy Squillacciotti, rodem z Neapolu, podczas jednej z bitew z wojskiem austriackim dostał wstrząsu nerwowego, wskutek czego utracił zdolność mówienia. Przywieziony do Modeny, był oddany pod opiekę lekarzy, wszystkie jednak ich wysiłki, aby chorego wyleczyć i przywrócić mu mowę, były daremne. Wreszcie jeden z lekarzy, dowiedziawszy się od krewnych chorego, iż jest on wielkim wielbicielem muzyki, kazał wnieść do pokoju chorego fortepian. Usiadłszy przy fortepianie,



Walki we Francji: zburzona wieża pancerna w forcie Boussoi k. Maubeuge.

DR PLACZEK.

Precz, Moskalu!

Pójdiesz precz ty z naszej ziemi,
Ty przewrotny „brat”, Moskalu!
Co rękoma skrwawionemi
Grzebiesz w grobach! Ty szakalu!

Mалоś gwałtem kraj splugawił?
Mалоś wywiózł w Azji lody?
Nie dość męczył, kradł, niestawił,
Choć ci pluły w twarz narody?

Dzis aj kupców tyś narzędziem,
By kulturę zgładzić z świata —
Pogromcami jutro będziem
Tego słowiańskiego brata!

Hej, nagonka! Wilkom w tropy!
Pluć im w ślepią sękańcami!
Jest ich w bród między turniami,
Gdy przyczają się w okopy!

Odbij zdobycz, odbij ziemię —
Rychło: by ją rbsać z wiosną!
Co za zboża tam urosną,
Gdzie ma grób zbójcekie plenię!



Ściganie rabusiów w Łodzi.

nabrała barwy prawie brązowej, tak, iż od innych ludzi się wyróżniała. Mając w Gdańsku poczynić jakieś zakupna, wybrała się do tego miasta, gdzie dwie obce niewiasty kazały ją aresztować pod zarzutem szpiegostwa. Berlinianka, ujrzawszy tworzące się dokoła niej zbiegowisko, schroniła się do składu kwiatów Bruegemanna z prośbą o opiekę, której też właściciel chętnie jej udzielił. Pokazało się też szczęśliwym trafem, iż sopoccy krewni naszej rodaczki są mu znani i dlatego uwierzono jej zapewnieniom, iż nie jest bynajmniej przebrany męczyzną, ani niebezpieczną osobą. Zajście to tak ją osłabiło i rozdrażniło, że, sprawunków nie załatwiwszy, niezwłocznie do Sopot wróciła. Na dworzec towarzyszył jej uprzejmy p. Brueggemann, a policjant z tyłu szedł za nimi.



Z walk we Francji: Żołnierze niemieccy w Côte Lorraine w poszukiwaniu wody dla zroszenia ziemi, wypalanej przez nadmierną suszę.

Czego nam trzeba?

Dziś nam wielkiego trzeba Tadeusza,
Gdy losy narodu się ważą na szali
I obcy istnienie przedmurza uznali!
Dziś, gdy naszego bohatera dusza
Gwiazdą rozprysła się na wszystkie strony
I Tadeuszów mamy dwa legiony!

Dziś samych wielkich nam tylko potrzeba:
Kościuszki, by lud swój prowadził na wroga!
Adama, by modlił się z nami do Boga —

A gdyśmy bez dachu, bez ładu, bez chleba:
Odnowiciela Kaźmierza wskrześ, Panie,
Niech ze krwi ziemia nasza zmartwychwstanie!

Już nikt nie żyje z tych, co w pełni chwały
Widzieli wolną ojczyznę — a przecie
Przez 100 lat niewoli rozrzucone w świecie
Serca wolności snu nie zapomniły!
Czyż milsze Ci od nas, o, Panie, te hordy,
Co w Imię Twe szerzą pożogi i mordy?



TEODOR KASZYŃSKI.

Przed obleżeniem Krakowa.

Jednakowoż i ludzie trzeźwo a zimno oceniający sytuację, łęk czuli w sercu i smutek przed grożącym niebezpieczeństwem, przed niepewnym jutrem.

Miastem wracały cotające się armie, udając się na nowe pozycje.

Szli żołnierze w nieporządnym szyku, zgubiwszy w zmęczeniu i męczących rytm miarowych wybijań butami, łamiąc co chwila wyciągniętą linię czwórek. Pod ciężarem tomistra i karabinu garbiły się ich plecy, piersi uciekały w tył, ramiona zaś występowały naprzód. Zdawało się, że wkrótce, że już-już pierwsza czwórka upadnie twarzą na kamienie gościńca, jak snop zwalczka, a za nią następne... Wyglądali w kolumnie, niby brudnawy lan zboża, zbity przez graci, i na wół zgięty do ziemi...

Lecz szli tak godzinami, czwórka za czwórką, kompania za kompanią, pułk za pułkiem. Zziębnięci, zmęczeni. Pługawilo ich ołoto i brud. Cechowało zobojętnienie, towarzyszące im stale w marszach, gdy wroga nie mieli tuż przed sobą. I jakaś powaga nie z tego świata... Powaga ludzi, co wśród rozszalanych armat, gwizdzących kul karabinowych i złotych plomyków szrapneli setki razy zaglądali śmierci w oczy, aż wzięli z nich surową moc jej spojrzenia i to zobojętnienie na małe sprawy świata tego...

Twarze żołnierskie wychudłe były, zarosnięte, zmizerowane. Świeże krople potu spływały starymi drogami po licach, rozmazując czarne obramowania dawnych...

Nie rozbrzmiewały swawolne pieśni wojackie. Nie płynęły pieśni narodowe. Szfandary zniknęły w ceratowych okryciach. Muzyki gdzieś odpadły. Wielkość chwili ciążyła nad wszystkimi.

I ludność nie witała ze zwykłym entuzjazmem swych bohaterskich obrońców. Zjawienie się ich z wieścią o odwrocie, z rozporządzeniami ewakuacyjnymi, w chwili trwogi i ogólnej gorączki nie uspokajało mieszkańców. Przeciwnie. Już nie tworzone szpalerów na ulicach, jak dawniej, nie obrzucano kwiatami żołnierzy. Tylko w przełocie ktoś spojrzał na nich. Tylko chłopczyca cichy, którego wojackie śniły się przygody, z nabożeństwem i uwielbieniem wpatrywał się w ich szeregi. Tylko dziewczyna jakaś, co kuchanka swego wysłała na wojnę, lub matka stara, wracając z miasta, przystanął z nią, a tak wymowną boleścią i łzami grubemi spoglądały w głębokie oddziały żołnierzy, azali drogiego swego w nich nie ujrzą. Tylko śniadankowy i kawiarniany strategik, rzuciwszy okiem dokoła, czempredzej ruszał dalej, aby się podzielić swemi obserwacjami z przyjaciółmi i snuć fałszywe wnioski z fałszywych przesłanek... Tylko dziadownina emeryt, mający dużo czasu, stał godzinami, wymachując do nich ręką, a także parasolem — z żalu, ze wzruszenia, ze złotego serca dziadowskiego... Tylko podlotek obrzucił ich powłóczytym spojrzeniem, uciekłszy szybko w przecznicę, aby nie wybuchnąć płaczem... Tylko żona, trzymając kilkunastomiesięcznego człowieka na ręku, polecała mu drobną dłonią słać pozdrowienia żołnierzom i jak najgłośniej wykrzykiwać: »Pa! pa!«, na co niejeden z nich odpowiadał przesmutnym uśmiechem...

Pozatem trochę żalu dano się spostrzedz we wzroku mieszkańców, nieco pretensyi i milczącego wyrzutu...

Dlaczego bowiem się oni cofają? Wróg podchodzi ku miastu i zagraża osaczeniem twierdzy! Dziesiątki tysięcy opuści swe domostwa i uda się gdzieś na tulaczkę. Dlaczego ludność nie może czytać o bojach, lecz ma być wciągniętą w ich wir i grozę?

Małoduszna u tych i owych natura ludzka, o swą dbającą skórę, o swą egzystencję, o swe wygodny i wygodki, nie wspominała w godzinach trwogi o skórze, wygodach i życiu tych, co krwią swoją bronili jej spokoju.

Miasto przedstawiało się, jak olbrzymi obóz wojenny. Przed gmachami państwowymi stały silne patrole z bagnietami na ostro. Droge do dworca kolejowego zamykał kordon policji, nie przepuszczający nikogo ani tam, ani z powrotem, jeżeli nie miał odpowiedniej przepustki z komendy twierdzy. Na bocznych ulicach biwakowało wojsko, oczekując rozkazu. Innemi dążyło już na miejsce przeznaczenia.

Glucho dudniły koła u armat. Ciągnęły je konie ze spuszczoneymi łbami, zbiedzone, z przyschniętą pianą na skórze, z bokami, odparzonymi przez pasy skórzane i świecącymi golizną. O trudach przeżytych walk i odwrotu mówiło każde kolo, każda szprycha. Więcej mówiły konie, niż ludzie, martwe przedmioty, niż osoby... Z hukiem przejeżdżały dziesiątki samochodów, wioząc oficerów po rozkazy, lub wracających z nimi, tubami dając znaki ostrzegawcze, albo żądając usunięcia się z drogi, by nie zatrzymać się, nie tracić czasu...

Z pośpiechem włócił się tren, co pewien czas odpoczywając wskutek przeszkód. Wówczas, gdy woźnice ścigali leje i dalsze klusowanie koni, dyszle uderzały o tyły poprzednich wozów, pnąc się w górę, a nędzna uprząż folgowała na kilka sekund karkom i grzbietom końskim. Często spotykały się z nim wozy sanitetów z rannymi. Gdzieś gdzie wychylała się budka pocztowa. Od czasu do czasu przejeżdżała kawaleria, strzelby mając zarzucone na plecy. Groźba biła od ulanów i jakoweś męstwo na ich widok spływało do serc ludzkich.

Wśród ogólnego milczenia, w którym tonęły kroki żołnierzy i mieszkańców, nawoływanie wozów trenu, odgłos kopyt konskich, przeciągły gwizd i syk samochodów, oznały się nagle i niespodzianie trąbki ulańskie.

Kilku trębaczy dać zaczęło w czerniale instrumenty wojackie, a głosy trąb — donośne, śmiałe, wygrywające melodie prostą, przeciągłą, złożoną z kilku akordów nawoływania się przed szarżą, skupienia do skoku szalonego naprzód! — zahypnotyzowały wszystkich i wszystko. Jakiś dreszcz biegł z nią i udzielał się słuchaczom, otoczeniu.

Wyprostowywali się żołnierze, podnosiły łby konie, nawet przy trenie, drgnęli przechodzący i, zatrzymawszy się na miejscu, skierowywali wzrok i słuch tam, skąd dochodził głos trąb ulańskich.

Błady twarze, łomotały się serca w ciasnych klatkach piersiowych, myśl przenosiła się z wyobraźnią na dalekie pola, kędy z brzmieniem tych trąbek rozwijały się do lotu kraśne szeregi ulańskie, by z wichrem przebiec linię strzał wroga, utonąć w dymie kul, ogniu granatów i słońcem swych szabel biysnąć przed oczami nieprzyjaciół, a potem utopić je w rubinowej krwi, nasycić gład, zaspokoić pragnienie, spełnić swój twardy obowiązek żołnierski, zemścić się, zdobyć sławę i chwałę, a wzamian zato oddać rzecz małą, nieważką i drobną — swe życie... Trąbko hulańska, jaki czar możny posiadasz!

Umilkły jej dźwięki, w ulicach sąsiednich zginęło echo, moc wsiąkła w dusze. Po chwili wrażenie przyszło.

Co innego ściągnęło na siebie uwagę: olbrzymie miedziane motorowe, okryte nieprzemakalną materią. Widać ich nie było, lecz znali je zarówno żołnierze, jak i mieszkańcy. Wracały do fortów, czy też, niby ptaki, odlatywały do cieplejszych krain, gdzie morderczy ogień palił i niszczył wszystko, zastępując żar podzwrotnikowy?

Szybko nastawał zmierzch. Zasepiczne niebo listopadowe tworzyło znakomicie dobrane tło do obrazu dnia.

Jasno-żółtawe płomienie elektrycznych lamp padały na maszerujące szeregi i na mieszkańców, nerwowo idących załatwiać sprawunki, »badać« sytuację, lub — bez celu. Wszyscy szli z pośpiechem, jakby uciekali przed nieprzyjacielem, jakby to oni należeli do cofającej się armii.

Tysiącrocć straszniej przedstawiała się twierdza wieczorem, tudzież mieszkańcy i ich życie. Lęk nieokreślony, nie dający się wypowiedzieć padał na serca, trwożył umysły, przyspieszał uderzenia pulsu, błędził niespokojnie oczami ludzkimi na wsze strony, wyostrzał słuch, rozrzucał podejrzenia, siał nieufność, odbierał spokój, logikę, odzywał się szeptem, miotał gorączkę ogólną i oprowadzał jej dzieci: chorobliwe majaki, wyrządzając daleko większe spustoszenia, niż armia wroga... We wzmożonym wicherze drzew dopatrywał się echa motoru nieprzyjacielskiego samolotu; w przypadkowym opuszczeniu laski na bruk — głosu bomby...

Jedyny temat gawęd wieczornych stanowiły: odwrót naszych i widno obłężenia.

Tak dzień stawał się udręką, noc męczarnią, a życie ciężarcm.

V.

Ewakuacja.

Komenda twierdzy z energią poczęła badać, zali jej wskazówki i rozkazy ściśle spełniono. Liczne komisje wojskowe — z przedstawicielami władzy politycznej i miejskiej — kontrolowały zapasy żywności u mieszkańców. Kto ich nie miał, lub w niedostatecznej ilości, otrzymywał nakaz opuszczenia rejonu fortecznego w przeciągu 24 godzin. Kto mieszkał w pobliżu fortów — też to samo dostawał zlecenie. Jęki, płacze, ataki histeryczne szły krok w krok z członkami komisji. Nie pomogły jednak. Rozchodziło się o dobro ogółu, o los twierdzy, o bramę ową, do wnętrza wiodącą państwa. Nie uwzględniano żadnych przyrzeczeń, iż w ciągu kilku godzin dany osobnik wystara się o żywność na okres trzechmiesięczny.

Z błyszczącymi bagnietami czuwali żołnierze u bram domostwa, otrzymawszy polecenie, aby nikogo nie wypuścili z wnętrza kamienicy. Komisja zaś ruszała na kontrolę. Nie pomijała suteryn, oficyn. Odwiedzala je zarówno. jak i salony, te same stawiając wymagania biednym i bogatym, starym i młodym.

Nie czuli się szczęśliwi ci, którym udzielono poświadczenia, że obowiązkom, wymagany przez komendę twierdzy, zadość uczynili. Nieszczęśliwsi atoli czuli się skazani na opuszczenie miasta. Ofiarowano im bezpłatną podróż do krajów, gdzieś zdala od terenu walki położonych, i skromne utrzymanie aż do powrotu.

A przecie, a mimo...

Ciężko opuścić miasto, gdzie się przeżyło szmat czasu. Odzie mury i twarze przypominały niejednemu dzieciństwo, młodość, ból lub radość, troskę lub cierpienie. Trudno się rozstać ze znajomymi, z przywyknięciem do ludzi, miejsc, pracy i rzeczy różnych.

Od ranka do nocy szli ewakuowani w stronę dworca towarowego, skąd odjechać mieli w dal. Prócz smutku, nie obciążało ich nic, z wyjątkiem małych tobołków, o przepisaną wadze, które im zabrać dozwolono. Szły gromadki ze wzrokiem przybitym ku ziemi, by lez ktoś gorzkich nie ujrzał... Mówimy o mężczyznach, bo kobiety i dzieci nie zadawały sobie trudu. Szlochaly głośno, a spotkawszy znajomych żegnały się z nimi na wieczność... Z mężczyzmi niejednemu odwiedzał niezamknięty jeszcze szynk i na podróż męczącą i uciążliwą krzepił się rumem, lub piwem, gdyż wódek i o pewnych godzinach zakazano sprzedawać... Niektórych konwojowali żołnierze pod bagnietami. Mianowicie tych,

co oświadczyli komisji, że dobrowolnie miasta nie opuszczają... Tak im prawil ich honor. Niechaj królewski gród-twierdza na nich się nie gniewa, ani pretensji o to nie ma, że ją opuszczają, czynią to bowiem tylko pod przymusem... A gdy ten przymus wykonywano, nie złościł się na tych, którym to komisja poruczyła. Więc usprawiedliwiali się przed żołnierzami.

Przechodnie spoglądali na tych tułaczów serdecznie. Kobiety plakały, mężczyźni wzdychali, kiwając głowami. Najserdeczniej żegnali ich wojacy, czy to w pojedynkę idący, czy też uddziałami.

— Wróćcie wkrótce! Nie bójcie się! Nie damy miasta! Wróćcie wnet! — wołali.

— Daj Boże! Niech Bóg wam pomaga! I wy wracajcie!
— Najświętsza Panienko, Królowo nasza, miej ich w opiece i z nimi zwyciężaj! — szeptały kobiety, żegnając żołnierzy znakiem krzyża.

Bratały się serca, stany, przeciwieństwa w onych dniach strasznych i chwilach wielkich...

Nie śpiesząc się, jakby opóźnić chciały termin rozstania się z miastem, ciągnęły ze wszystkich ulic biedne ptaki, opuściwszy swe gniazda. Dopiero wówczas niejeden i niejedna ocenili ich wartość i szczęście. **Los zły jest nie tylko świętym nauczycielem, ale też często sprawiedliwą wagą do oceny wustkięgo.**

Na dworcze oczekiwaly już wozy. Gramolily się do nich przerażone dzieci, wciągały wspólnie kobiety, wskakiwali mężczyźni, ostrożnie wspinały się matki z niemowlętami lub brzemienne. Porządek utrzymywała policja i komitet miejski, częstując uchodźców skromną przekąską, pocieszając słowami otuchy. Jakoby rozpacz dała się najserdeczniejszym ukoić frazesem...

Trwała ona wędrówka kilka dni.

Ale nie tylko z miasta. Wyprowadzaly się bowiem całe wsie, leżące w pasie fortecznym. Dosłownie wyprowadzaly się, pozostawwszy na opuszczonym miejscu tylko ziemię, chatę i ukryte gdzieś może zapasy żywności. Reszta znajdowała się na furach...

Padal wówczas drobny, przejmujący deszcz.

Ulicami grodu królewskiego przejeżdżała fura za furą, wóz za wozem, naładowany dobytkiem gospodarskim. U samej ich góry nieścily się rodziny chłopskie. Starcy, kobiety, dzieci, mężczyźni. Sunął ten orszak smutny, bity deszczem, podcinany wichrem, jakiś bliższy olowianych chmur na niebie. Majestat nieszczęścia był taki u nich widoczny, że nikomu ze świadków i widzów tej karawany na myśl nie przyszedł komizm jej, nie zachichotał śmiech, brat tragedji...

Każdy mieszczuch rozumiał doskonale, co się dzialo w duszach chłopów, gdy odjeżdżali od swych pól, od swjej ziemi i budynków, zostawwszy je na łup arnatiach kul, ognia, a może wroga!

A ku tym wioskom on podchodził.

Przed niemi gwarzyły obozowiska naszych żołnierzy. Jakże potężne wrażenie odniósł ten, kto w późny wieczór wybrał się w dniach pierwszych listopada poza którąkolwiek rogatkę! Na łąkach i polach siedzieli wojacy, rozmawiając przyciszonym głosem. Niektórzy przechadzali się, brnąc w wodzie, nagromadzonej deszczem, a zamiast kroków ich, słyhać było chlupotanie i mlaskanie grząskiego błota. Tu i ówdzie gotowano kolację na kuchniach polowych. Płomienie ognia, obejmujące kociołki, spotykały się z kroplami deszczu i syczały niesamowicie, kryjąc się pod dnem naczynia... Przy kuchni grzali żołnierze zziębnięte, skostniałe ręce. Krażyły patrole, oświetlając sobie drogę lampkami elektrycznymi. Czynilo to zdaleka wrażenie, jakby robaczki świętojańskie unosiły się przed obozem... Tylko

czasem wytrysnął potężny snop światła, niby olśniewająca błyskawica, szeroką strugą oświetlając badaną przestrzeń. Reflektor szukał patroli nieprzyjacielskich i wywiadowców.

Dokoła twierdzy wznosił się olbrzymi wieniec ognia, w kilku miejscach przerwany. Luna zeń biła na miasto...

Płonęły wsie okoliczne, aby nie dawały oparcia wrogowi...

Po usunięciu ludności — usunęto budynki i lasy... Została ziemia, naga, ofiarna, zachlanna, gotowa przyjąć pol, taksamo, jak i krew, złe i dobre.

Ziemia-żywicielka — i ziemia-grób!

VI.

Precz, od miasta królewskiego!

Gorączka ewakuacyjna minęła. Którzy mieli wyjechać — wyjechali. Wyludniły się ulice, opustoszały mieszkania. Wiele sklepów zamknięto, wiele domów gościnnych zawarło swe pedwje gościnne. Połowa prawie ludności pozostawiła twierdzę. Jedni przymusowo, drudzy z własnej woli...

Pewne dzienniki zmniejszyły swą objętość. Banki spalowane dawno manatki wywiozły poza granice Księstwa. Burmistrz odjechał. Rada miejska obrała nowe prezydium.

Ludność oczekiwała wroga. Im bardziej się on zbliżał, tem malał lęk przed nim... Wreszcie pewnego dnia powitały go donośne salwy dział z fortów. Zjawily się samoloty nieprzyjacielskie, nad miastem krążące, podobne jastrzębom...

I, rzecz ciekawa: w odgłosie dział znikła obawa mieszkańców, zczeszł ohydny lęk. Spokój i wiara osiadły na twarzach ludności.

Kanonada trwała kilka tygodni.

Wreszcie ustala.

Pobity nieprzyjaciel umknął nietylko z pod twierdzy, ale ze znacznej części zajmowanego terytorium.

Wrogu! precz od miasta — królewskiego!

Stary gród odetchnął.

Jeszcze piękniejszy był teraz, niż dawniej — z tą ciszą wyludnienia. Puste ulice gwarzyły z szaremi kamienicami, z Zamkiem królewskim. Nie przeszkadzał im tłum, ani gwar. Środkiem miasta płynęła cicho rzeka, pagórkom nadbrzeżnym i łąkom szemrząc swą pieśń tysiąclecia, mury zamku całując i grzbietem fal swych hołd mu oddając.

Do bogatej przeszłości swej, miasto królewskie rzuciło nowe wspomnienia — świetne.

Może mu wojna dawna moc i chwałę wróci?... Niezbadane są drogi Przenaczenia.

Miasto okala szereg fortów. Jako że gród królewski stanowi twierdzę. Nic nie zdradza tego. Chyba pyski armat, wychylające się z otworów fortecznych — szerokie, otwarte, poziewające w czasie nudy, gotowe jednak w każdej chwili do ponownego przywitania wroga. Wyglądają całuskiem niewinnie. Śnieg je bieli zimą, a wiosna mai...

K O N I E C.

JAN CHELMIRSKI.

M A T K A.

(Opowieść ze wsi polskiej.).

Wschodził pogodny sierpniowy poranek. Zorza już dawno zgasła — jeno ostatnie krwawe pręgi żarzyły się jeszcze tu i ówdzie na niebie. Leniwo z za gór wypelzające promienie wschodzącego słońca złościły grzbiety górskie, kładły się jasnymi smugami na rozległe rżyska, na puste, szerokie ugory. Rosy obfite zaskrzyły się w pierwszych ca-

łunkach budzącego się słońca, jak niezmierzone, brylantowe morza. Wody strumyków i mokrzadla dymily gęstymi, białymi oparami.

Z wieży drewnianego kościółka odezwała się majestaliczna poranna modlitwa dzwonu. Rozcśmiane, śpiżowe dźwięki leciały na pola, skąpane w rosach, cisnęły się do rozświetlanych drzwi wieśniaczych chat, przeciąglemi, głóśnemi echanii dzwoniły w nirocnych jeszcze tajniach lasu, aż znikły hen — w dali...

Zwolna budziła się polska wieś do życia pod pieśczęcota dobrych blasków wschodzącego słońca.

Z ubogiej, wiekiem pochyłonej chaty, we wieńcu sadu skytej, wyszła Malska ze synem. On, ubrany w szary mundur strzelecki, liczył niewiele ponad dwadzieścia lat — ona dźwigała na barkach swych ze siedm krzyżyków.

Szli w milczeniu — zasluchani w serc swych tętno i myśli swoich mowę. Ciężko im było na duszy, dziwnie ciężko. Za chwilę już mieli się pożegnać na długo — może na zawsze...

Malska nie spuszczała rozkochanych oczu ze syna. Jedyna to peciecha jej starości od śmierci Tadzia. Och, Boże!... Tadzio!... Jakie to dobre było dziecko!... O głodzie i chłedzie, za to z celującymi postęпами przeszedł gimnazjum — już i uniwersytet o własnych siłach kończył... Nędza zapędziła go do Królestwa, na guwernerkę... Nadszedł właśnie rok 1905. Zamęczyli go na Pawiaku — zamęczyli... Został jeden Stachu — ostatnia nadzieja i podpora starości matczyniej — jedyny stróż ojcowskiej ziemi.

I jego dziś pożegnać musi. Jeszcze jeno parę chwil razem — a potem on pospieszy, dokąd go głos obowiązku wzywa, Słowo, Rozkaz — gdzie święta powinność zemsty za krzywdy Ojczyzny odwieczne — za Tadzia... A potem — potem... Kto to wie?... Kto to przejrzy, przeczuje?...

Smęci się serce matczynie. Rozkochane oczy nie mogą oderwać się od tej drogiej, płowej głowy jedynaka.

Całą noc przesiedziała Malska skulona u łóżka syna, bojąc się zaszlochać głóśniej, nawet westchnąć głębiej, aby go nie przebudzić — boć to może ostatnia w jego życiu noc, spędzona pod rodzinną strzechą, pod czujną, miłosną onicką matczyną. Ciężki jakiś glaz legł jej na duszy — maciła się myśl — serce rwało się w kawały — ociekalo krwią.

Najsprzeczniesze myśli kotłowały jej w mózgu — przewalały się i burzyły, jak spienione dunajcowe fale w czas powodzi.

— Nie — ona go nie puści od siebie!... Jakżeż tu sama zostanie wśród czterech ścian chałupy? Kto o zmierzchu poloży dłonie na jej siwe włosy? Kto obejmie za szyję? Kto ją przytuli do serca? Kto przyholubi — staruszkę?...

A może w jakiś samotny wieczór — kiedy to wicheru łomota konarami starej gruszy przed oknem, a deszcz, na poly ze śniegiem zmieszany, siecze niemilosiernie w szyby — może i kostucha do niej zapuka? Któż jej wody poda? Kto gromnicę z za obrazu Ostrobramskiej weźmie i zapaloną w jej już kóśniejącą dłoń wciśnie?...

— Nie puści go od siebie — nie... Siędzie na progu chaty — własną piersią zatarasuje mu drogę — piersią, która go w niemowlęctwie karmiła — i powie: Dępcz go mnie!...

— Nie puści go, nie!... Obejmie go za szyję temi rekoma, które go dzieckiem holubily, huśtały, całami godzinami nosily, gdy był chory i — zatrzyma...

— Zatrzymają go lzy matki, skargi serdeczne, zaklęcia, błagania — zatrzyma go sieroctwo matczynie...

— Stachu, Stachu!... Już ja cię nie puszcę od siebie — nie!... Ty ostatnia starości mej uciecho — jedyna sieroctwa mego podporo!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Sprawozdawcy dziennikarscy w austriackiej kwaterze prasowej na wschodnim placu boju.



Wojna z Rosją: Ludność Wołynia przy budowie drogi w miejscowych lasach.

Na starym gruncie.

Powieść

przez

M. Febroniusza.

12)

Przechodził z pokoju do pokoju, niczego nie szukając, bo nic tu już do znalezienia dłań nie było, ale tak tylko... tak! Patrzył, jak na obrazek jakiś i jak na obrazek jakiś wyjrzał potem przez okno na ulicę, a że ta okolica miasta ludna jest zawsze i ruchu pełna, popatrzył też przez chwilę na przesuwające się postacie. Tyle ludzi: bliźnich i ziomków, a on jednak czuł się samotnym!...

Mogło tak nie być przecież... on to wiedział, bo sumienia nie zagłuszył sobie sofizmatami i czuł, że wina jest po jego stronie. Jednak gdyby ojciec tak surowym nie był, gdyby był jeszcze ten raz przebaczył!

Ale to jest kara słabych, że ludzie tracą w nich wiarę.

A czyż on sam nie lękał się siebie, swojej mizernej natury? Ale jeżeli i teraz jeszcze nie wytrwa — osunie się i padnie, to już nikt nie będzie wiedział o tem i on sam tylko gardzić będzie sobą. Tak, tylko on sam... Ślady jego drogi nie wydadzą go nikomu, bo ich nie zostawi za sobą... Gdy jutro nad wieczorem Rębski przyjdzie tu żegnać się z nim i do kolei odprowadzić, stróż tylko odda mu klucze i powie: »Już pojechał«...

Teraz tylko nie należało mu tracić energii i nie rozmyślać długo. Ludzie miękkiego serca mogą się przy tem tak rozżalić nad sobą, jak rozżalają się nad innymi biedakami, którzy cierpią, a rozczulenie zły to jest przewodnik człowieka w chwilach stanowczych, gdy stoi u dróg życia rozstajnych.

Stanisław przeszedł samotne pokoje, wśród których rozlegały się tylko jego kroki, wziął kapelusz i paltot, klucze ode drzwi schował do kieszeni i wyszedł na ulicę, kierując się na ulicę Senatorską, w stronę kolumny Zygmunta.

Oczy jego tak patrzyły na wszystko, jakgdyby chciał to od-fotografować sobie i szedł powoli, jak podróżnik, który pierwszy raz gdzieś się znajduje, lub ten, który odjeżdża daleko i myśli, że może nie wróci tu już więcej. U kolumny Zygmunto-wskiej ogarnęło go pewne wzruszenie, bo przypomniał sobie, jak za pierwszej swej bytności w Warszawie zobaczył ją, trzymając się ręki ojcowskiej, którą ścisłał mocno, bojąc się, aby nie zginął wśród tych ludzi idących każdy w swoją stronę. Miał wtedy ósmy rok; teraz przeciwnie, zginąć chciał — zginąć i już może nie znaleźć się nigdy... nigdy!...

Od zamku zwrócił się w ulicę Ś-to Jańską. Znal ją lepiej, niż inne takie uliczki poboczne, bo gdy się chciał pomodlić, najczęściej szedł do starej katedry, której uroczystą spokojność lubił i wśród której odnajdywał najlepiej młode usposobienie do modlitwy. Ale teraz minął ją; na przeciwnej stronie, już ku Staremu Miastu, był sklep krawca mięskiego, który zapamiętał, bo jego właściciel, pan Jan Nepomucen Kapral, jak stało wypisane na szyldzie, zwrócił się uwagę swoją uczciwą i piękną fizygnomią mieszczanina czystej krwi. Stał często w odchylonych drzwiach sklepu i witał się z mnóstwem przechodniów, a czasem rozmawiał z sąsiadem swym przez ulicę, właścicielem wyrobów cynowych, i Stanisław, dla typowości swojskiej tych twarzy, naszkicował sobie obydwóch: sławetnego Józefa Pochwałę i Jana Nepomucena, którego przodek może rzeczywiście był kiedyś kapralem, bo jego potomek miał porządne kaprałskie wąsy i śmiało patrzyło z piwnych, dużych oczu, po których znać było, że nie spuszczały się łatwo i przed byle kim. Nosił się zwykle szaraczkowo i Stanisław, który to wszystko zapamiętał, skierował się teraz do jego sklepu po takie właśnie ubranie, gdyż tam, gdzie jechał, jego dotychczasowe suknie nie służyłyby dobrze.

Gdy wszedł do sklepu, niskiego i wąskiego, oświetlonego tylko wchodowymi szklanymi drzwiami, którego całą jedną ścianę zajmowała przecięz oszklona szafa, pełna towaru, właściciel, który dopiero na dźwięk dzwonka otwierających się drzwi z dalszych części mieszkania tu wyszedł, zapytał go z wielkim uszanowaniem, ale i podziwieniem pewnym: »Czego pan dobrodzieju sobie życzy?«.

Usłyszawszy odpowiedź, jeszcze nie dowierzał, aby ten elegancki młody pan u niego ubrania sobie szukał, i zapytał na jaką miarę?

— Na moją — odparł Stanisław i wtedy Jan Nepomucen przyjrzał mu się raz jeszcze: jemu i jego wytwornym sukniom, jego kapeluszu paryżkiemu, który Stanisław na stolczku pod lustrem położył.

— A czy ja nęde mógł służyć czemś, co-by panu dobrodzieju przypadło? — zapytał i obiegł raz jeszcze wzrokiem całą postać od pięknej szlachetnej głowy młodzieńca, do jego białych, delikatnych rąk, z długimi palcami, które Stanisław też z rękawiczek już uwolnił, na których zatrzymało się spojrzenie doświadczonego człowieka. — Ja, panie dobrodzieju, to sobie taki zwyczajny krawiec staroświecki; syn po ojcu handelek mój prowadzę, ale dla prostszego ludku niż pan dobrodzieju, dla niebogaty, dla takich, na przykład, jak ja, co pomiernym staniem żyją.

— Ja nie jestem bogaty — odparł Stanisław. — Na wieś wyjeżdżam i potrzeba mi sukien niewytwornych, tylko dobrze uszytych i z mocnego materiału.

— Takimi to będę mógł służyć panu dobrodzieju i nie powstydzę się za nie — rzekł imci pan Kapral z du-

mą uczciwą sumiennego człowieka i prędko dobrał Stanisławowi to, czego żądał; ale ten pomyślał tymczasem, że i odświętna suknia jakaś potrzebną mu będzie: jakaś be-kieszka, czamarka granatowa, a pan majster podniósł głowę. — O!... tu mam coś, co pokazać można i na oko widzę, że w tem będzie panu dobrodzieju co się zowie pięknie. Właśnie, właśnie na taki przystojny wzrost... Pan dobrodzieju nie ułamek i aż się rozświeciło w sklepie, gdy pan wszedł... Ja-bo jestem krawiec-amator, krawiec z rędu krawców i miło mi takiego pięknego pana ubrać...

— Tylko pan dobrodzieju trochę mizerny, trochę pobladły i szczupły, zmęczony...

— Pewno nad książką? — dodał, patrząc na Stanisława jakby rodzicielskim wzrokiem. Nie mógł się pozbyć pierwszego wrażenia, że ten elegancki pan, nie u niego powinien sobie suknie kupować i czuł, że tu jest coś, jak usunięcie się z wyższego stopnia na niższy. Przytem, choć nie Fidyasz, tylko krawiec, rozmiłował się w kształtnej postaci Stanisława i z zadowoleniem myślał, jak jego granatowa czamarka z cienkiego jak sajeta sukna, będzie pięknie wyglądać na tej wysmukłej postaci młodzieńca.

— Jak uła! — zawołał też, pychę uniesiony, gdy ją na Stanisławie przymierzył, ale potem zaczął głową kręcić. — Nie — rzekł — jest feler; wygląda, jak gdybyś się pan dobrodzieju przygarbił, trzeba też w kołnierzu podciąć i do góry wziąć. Tak... tak.. podciąć i do góry wziąć, a dopiero będzie jak należy...

Stanisław już chciał na »feler« nie zważać, ale od czegoż Jan Nepomucen był majstrem i starszym w swoim cechu?...

— Kiedy panu dobrodzieju pilno, kiedy pan dobrodzieju jutro tak rano wyjeżdża, to na poczekaniu będzie! — zawołał i, poprawki na Stanisławie zaznaczywszy, wyniósł coperędzej suknię do pracowni, która była w tyle sklepu — długa, sklepiona komnata, z wysokim, w okrągły pół luk u góry zatoczonym oknem. Znać było styl stary, bodaj czy nie z czasów saskich, a ściany malowane na blado-zielony kolor, rozszerzały się, ku podwórku się wyciągając; a że słońce, które już na zachód schodziło, było z wysoka w okno, panowała tu jasność wesola, wśród której wszystko wesołem i milem się wydawało. Dwóch czeladników, młodych chłopców, z zakręconymi w górę wąsikami, szło pod oknem, a u stołu, który stał na środku, siedziała młoda jasnowłosa dziewczyna, drobnej, okrągłej twarzy białej i rumianej, jak jabłuszko. Ta także miała igłę w ręku i pracowicie szyła; w klatce kanarek wyśpiewywał, jak gdyby szedł z kimś w zawody, a Stanisławowi to domowe wnętrze pracowitych ludzi okazało się, a raczej mignęło przed oczyma przy otwarciu drzwi i westchnął. Była tu praca mozolna i żmudna, z perspektywą jednostajnego, a może też kłopotliwego istnienia, w którym nie było wiele miejsca na przyjemności, na święto życia, ale dom to był zawsze, rodzina: były cztery kąty jakieś, które mieszkający tu ludzie nazywali swojemi: była więc pierwsza i najważniejsza podstawa szczęścia i coś swojego, coś własnego...

On nic takiego nie miał, nic nie posiadał, prócz uczucia straty po tem, co mu przepadło.

Pan Jan Kapral wrócił niedługo i uważał sobie za obowiązek zabawić Stanisława, jak gdyby to był gość jego. Był też uim poniekąd, bo gdy ten brał za kłamek, aby wrócić na oznaczoną godzinę, zatrzymał go, rzeczywiście przez gościnność. — A niech-że pan dobrodzieju odpocznie — rzekł — siądzie sobie wygodnie na kanapie. Widać, że się pan w drogę wybiera, bo znać, że zmęczony... (C. d. n.)